Nr. 45 Rok 3 Kraków, dnia 8 listopada 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurier Polski



ZIEMNIAKI NA ZIMĘ

CHARAKTERYSTYCZNY OBRAZEK, JAKI MOGLIŚMY W OSTATNICH CZASACH OGLĄDAĆ NA ULICACH NASZYCH MIAST, GDZIE LUDNOŚĆ ZAJĘTA BYŁA ODBIERANIEM SWEGO PRZYDZIAŁU ZIEMNIACZANEGO. FOT. BOREK

Wyspy SALOMONY



Amerykanie znajdują się od pewnego czasu na jednej części wysp Salomona. Gwadalkanar jest wyspą, na której się bronią przed naciskającymi na nich Japończykami. Już w czasie lądowania na tej wyspie ponieśli Amerykanie olbrzymie straty w okrętach i materiale wojennym — i nie inny los ich spotkał przy próbie odsieczy. Wyniki owych trzech bitew morskich stoczonych na południowym Pacyfiku, z których pierwsze dwie jako bitwy przy wyspach Salomona — a ostatnia jako morskie zwycięstwo pod Santa Cruz, wyraźnie rozstrzygnęły zagadnienie panowania na tych wodach na korzyść Japończyków. Sensacyjny przebieg ostatnich japońskich zwycięstw morskich, jest znacznym przyczynkiem do tych historycznych przemian, jakie się obecnie dokonywują w Azji Wschodniej.

Legendarne skarby, mające pono znajdować się na grupie wysp Oceanii, kędyś na wschód od Nowej Gwinei, na wulkanicznych resztkach dawnego lądu, łączącego Archipelag Bismarcka z Nowymi Hebrydami i Nową Kaledonią, lądu — stanowiącego może w zamierzchłych epokach geologicznych część sąsiednich kontynentów, — skłoniły Hiszpana Alvaro de Mendana w XVI wieku do podjęcia podróży, uwieńczonej w r. 1567 odkryciem, jak mniemał, złotonośnej krainy Ofir, celu wypraw Salomona, skąd też poszła nazwa wysp. Chciwość żeglarza została atoli ukarana przez los, bo w drugiej swej wyprawie nie zdołał już odnaleźć celu swych pragnień, zagubiwszy drogę wśród bezmiaru wód Pacyfiku. Dopiero w r. 1767 odkrył je ponownie Bougainville, pod kierownictwem którego odbywała się pierwsza francuska wyprawa morska dookoła świata.

Rozwiał się wówczas mit o bogactwach egzotycznych wysp, złoto nie zalśniło wabiącym blaskiem, a skąpana w słonecznych promieniach kraina legła w zapomnieniu, z dala od kursów okrętowych, trudnodostępna dla dzikości wybrzeży i wrogiej postawy swych mieszkańców.

Wyspy Salomona pozostały więc długo mało znanym zakątkiem świata, dopiero zawierucha wojenna na Dalekim Wschodzie wciągnęła je w orbitę ogólnego zainteresowania.

Jako formacja geologiczna, stanowią Wyspy Salomona nowszą pokrywę archaicznego trzonu australijsko-polinezyjskiego, odległość ich zaś od wschodniego krańca Nowej Gwinei, do której to wyspy, największej z archipelagu melanezyjskiego, upodabniają się pod wielu względami, wynosi w najkrótszej linii 400 kilometrów. Tysiąc pięćset km dzieli W-y Salomona od masywu australijskiego, 3 000 kilometrów okrągło od Sidney. Jeśli chodzi o ścisłe dane geograficzne, Wyspy Salomona leżą pomiędzy 5⁰ a 11⁰ szerokości południowej i między 154⁰ 40′ a 162⁰ 30′ długości wschodniej.

Ongiś musiały tworzyć omawiane wyspy organiczną całość z całym australijskim dzisiejszym półwyspem, tym samym z Nową Gwineą, od której obecnie dzieli je głęboki rów międzywodzia gwinejsko-melanezyjskiego. Resztki łańcuchów górskich o charakterze podobieństwa a często identyczności do szczytów australijskich wskazują na zatopienie rozdartego w odległej przeszłości kontynentu, na wyniosłościach którego uformowały się następnie rafy koralowe będące ogólnym pomostem między archipelagami wysp australijskich. Siedem wysp tworzy obszar Salomonów, naturalnie w znaczeniu wysp większych, stanowiących kiedyś najwyższe szczyty pra-górskich łańcuchów tego obszaru. Bougainville, o powierzchni 10 000 km^2, Gwadalcanar i Maleita o obszarach do 6 500 km^2 każda, Choiseul i Izabeli po 5 850 km^2, Bauro (San Cristobal) 3 100 km^2 oraz Buka. Łącznie z pomniejszymi wysepkami, obszar Salomonów wyraża się w cyfrze 43 900 km^2.

Podobnie jak na wszystkich prawie wyspach mórz południowych i tutaj zachodzą wciąż jeszcze procesy wulkaniczne, na co wskazują liczne wygasłe kratery, zastygła lawa, gorące źródła i częste trzęsienia ziemi. Na Bougainville znajdują się do dnia dzisiejszego dwa czynne wulkany, a to: Balbi i Bagana. Wybrzeża większych wysp wznoszą się stromo ku wnętrzu, a góry powulkanicznego pochodzenia wydają się od strony morza bardzo wysokie, wyższe, niż wydawałyby się na niewielkiej płaszczyźnie. Wysokość pojedynczych szczytów waha się w granicach 2 500—3 000 metrów. Koralowe atole wysterczają nieco ponad toń morską, a chociaż łamią się o nie fale burz i przypływów, przecież stanowią wielkie utrudnienie dla żeglugi. Za szczególnie niebezpieczne pod tym względem uchodzą rafy Izabeli oraz bariera koralowa Candelaria. Głębokość morza między rafami a wyspą Bougainville zmienia się często, wynosząc tylko 3 m w pewnych punktach.

W nowszych czasach powstał na wyspie Tulagi port. Wyspa ta wyposażona została również w radiową stację nadawczą. Wyspy Salomona są dotąd jeszcze mało zbadane, nie tyle z powodu górzystości terenu ile raczej ze względu na nieprzebyte gąszcza dziewiczych puszcz, właściwych tamtejszemu wilgotnemu, tropikalnemu klimatowi.

Krajobrazowo odpowiadają Salomony sąsiedniej Nowej Gwinei, a jedynie na wyniosłych grzebieniach górskich ustępują lasy miejsca trawiasto-ciernistym stepom. Pośród palm kokosowych i sagowych kryją się osiedla tubylców, których nieposkromiona dzikość i okrucieństwo zamknęły dostęp cywilizacji, ograniczając osadnictwo do zaledwo 300 białych przybyszów na wszystkich wyspach ogółem.

Bardzo mizernie przedstawiają się, jak dotąd, wyniki prac misyjnych, handlowych, czy plantatorskich, posiew bowiem kultury nie trafia do przekonania mieszkańcom tej egzotycznej krainy, a wielu z pośród nich cieszy się smutną sławą ludożerców. W wywozie stanowią pewną pozycję orzechy kokosowe i trepang, wymieniane atoli bardzo skwapliwie przez tubylców przemytnikom angielskim na broń i alkohol, co wiele kłopotu przysparza Niemieckiej Nowogwinejskiej Kampanii Kolonizacyjnej.

Część północną wysp zamieszkują czystej rasy Papuasi, ku południowi mieszają się z Polinezyjczykami, rosłymi, barczystymi, wytrzymałymi, chętnie od dawien dawna zatrudnianymi na plantacjach w Quenslandzie, gdzie atoli traktowani przez Brytyjczyków jak niewolnicy, zdołali nabrać nienawiści do „Białych diabłów".

Pod koniec XIX wieku nie interesowało się żadne z większych mocarstw Wyspami Salomona, aż dopiero po roku 1884, w związku z zatknięciem niemieckiego sztandaru na Nowej Gwinei i Archipelagu Bismarcka, przyznano państwu niemieckiemu sąsiednią wyspę Bucka, Bougainville, Izabeli i Choissel, wchodzące w skład Salomonów. W roku 1899 przeszły wyspy Choissel i Izabeli w posiadanie Anglii, jako rekompensata za podział pomiędzy Niemcy i Stany Zjednoczone Wysp Samoańskich. Rok 1920 oddał Buckę i Bougainville pod mandat ausralijski, reszta wysp Salomona stała się brytyjską kolonią koronną.

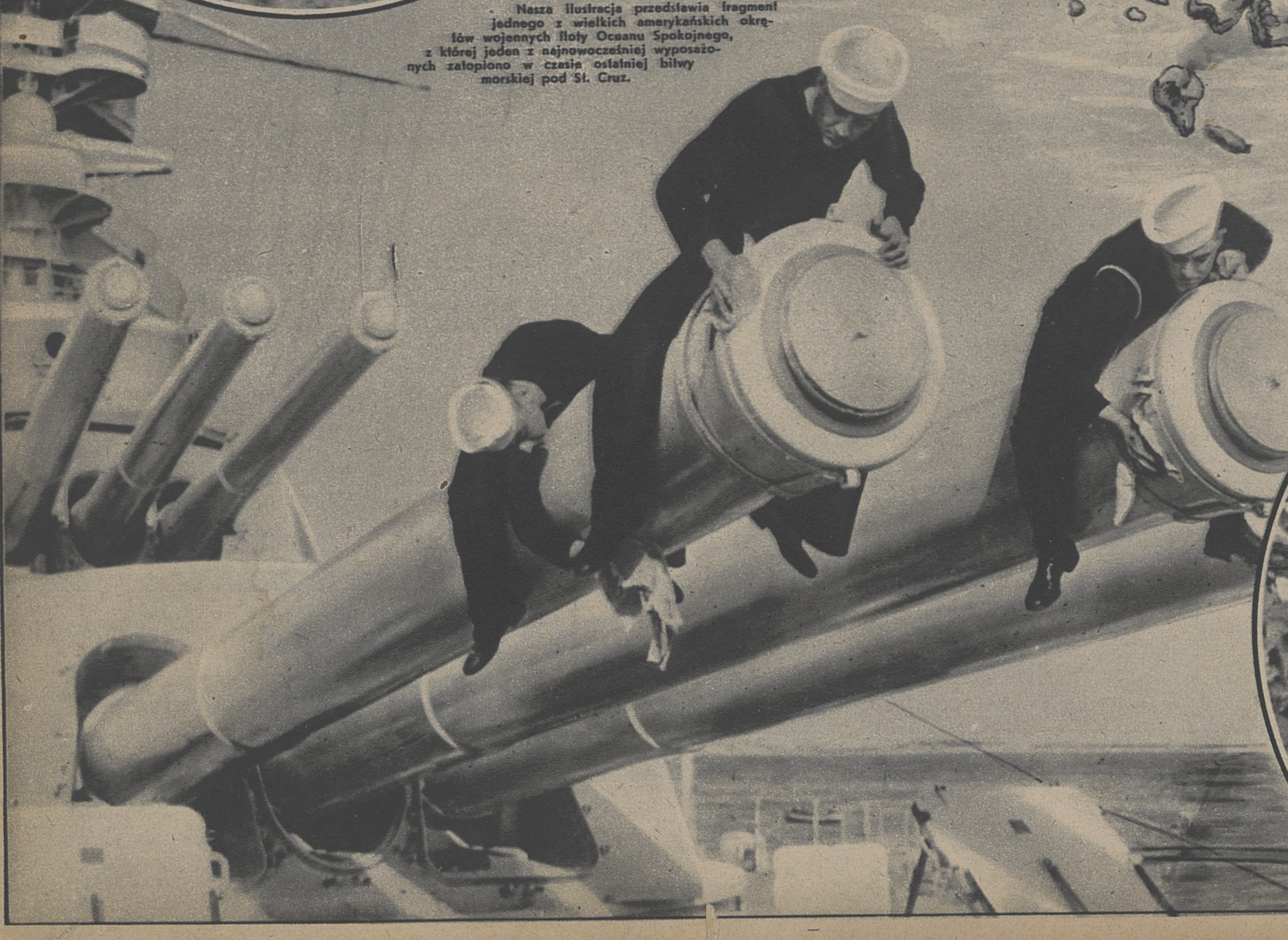
Wojna obecna nadała szczególne znaczenie krańcowym wyspom Pacyfiku, a geograficzne położenie Salomonów, jako naturalnej odskoczni ku Nowej Gwinei i Australii mówi samo za siebie. Zrozumiała jest strategicznie ważna pozycja Wysp Salomona, jako bariery północno-wschodniej Australijsko-Nowogwinejskiej, tudzież jako bazy dla floty morskiej i powietrznej, operującej lub operować mogącej na wodach australijsko-melanezyjskich. Tworząc ubezpieczenie flankowe dla Polinezji, zagrażają równocześnie drogom okrętowym na kursie Ameryka-Australia. I to jest właśnie nowoczesny „skarb", pławiących się w słonecznym żarze Południa, otoczonych nimbem legendy — Wysp Salomona.

St. Krasiński





Na lewo:
„W KWADRAT ORIENTACYJNY x NA PÓŁNOC OD ST. CRUZ WKRACZA AMERYKAŃSKA FLOTA WOJENNA"
melduje radiotelegrafista japońskiego samolotu wywiadowczego do swego portu macierzystego. W kilka godzin potem rozgrywa się już wielka bitwa morska pod St. Cruz na południowych wodach Pacyfiku. W bitwie tej zatopiono 4 lotniskowce amerykańskie i jeden okręt wojenny.



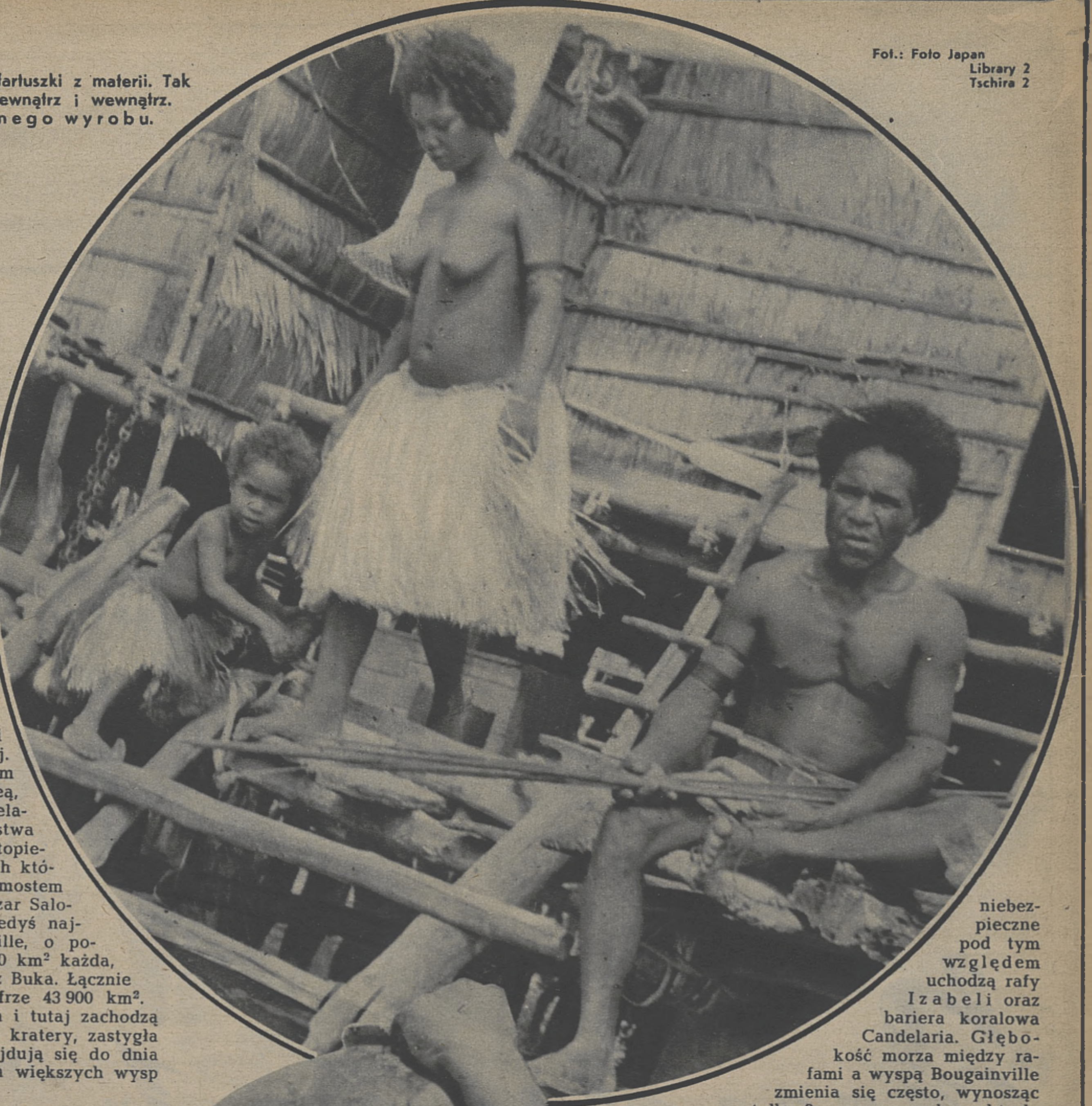
U dołu:
KOŁO WYSP SALOMONA STRACIŁA AMERYKA CAŁĄ FLOTYLLĘ
W walce o jedną jedyną wyspę (Gwadalkanar) straciła flota amerykańska przy pierwszym starciu z Japończykami 13 krążowników i 9 kontrtorpedowców. Podczas drugiego starcia stracili Amerykanie lotniskowiec „Wasp", 3 krążowniki i 5 kontrtorpedowców, a obecnie w czasie trzeciej bitwy morskiej pod St. Cruz 4 lotniskowce i jeden okręt wojenny.

Nasza ilustracja przedstawia fragment jednego z wielkich amerykańskich okrętów wojennych floty Oceanu Spokojnego, z której jeden z najnowocześniej wyposażonych zatopiono w czasie ostatniej bitwy morskiej pod St. Cruz.



„KTO POSIADA GWADALKANAR PANUJE NAD WYSPAMI SALOMONA
i zyskuje dzięki temu przewagę nad północno-zachodnimi wodami Oceanu Spokojnego" — wyraża się jeden z korespondentów z Sydney i zaznacza tym zwrotem dobitnie jak niesłychanie ważnym jest wynik tej bitwy o wylądowanie dla walczących mocarstw. Japończycy dotychczas idą ciągle naprzód i po dalszych wylądowaniach osaczyli przybyłe tam wojska amerykańskie.

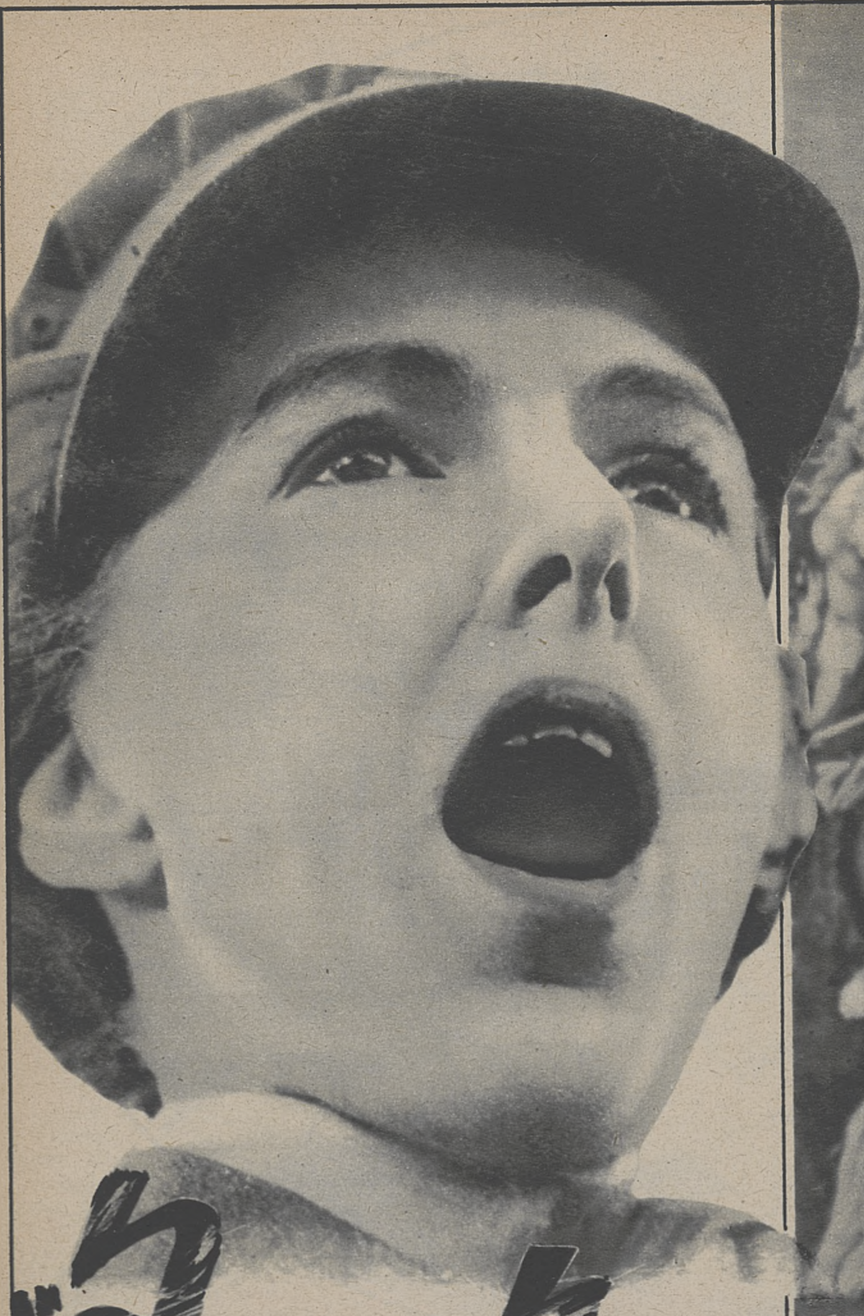
Nasza ilustracja przedstawia japońskiego żołnierza piechoty, przy przecinaniu zasieków z drutów kolczastych.





Na prawo:
IDYLLA RODZINNA PAPUASÓW
Papuaski z wysp Salomona noszą spodniczki z łyka, a mężczyźni fartuszki z materii. Tak prymitywne jak sprzęty są także ich budowle na palach zewnątrz i wewnątrz. U dołu Papuaska niesie wodę w oryginalnym dzbanku własnego wyrobu.

Fot.: Foto Japan Library 2 Tschire 2





„Amazonki"

O LEGENDARNYCH AMAZONKACH I DZISIEJSZYCH KOBIETACH WALCZĄCYCH

Kobieta wojownik, to coś tak monstrualnie parodialnego, że zdrowy rozum wzdryga się na samą myśl o tym.

Kobieta, która jako taka kryje w sobie wrodzoną miękkość charakteru, predystynowana do roli kapłanki ogniska domowego, żony i matki, przeistoczona w istotę krwiożerczą, z bronią w ręku uganiającą wśród bitewnej wrzawy — czyż to nie okropna fantasmagoria chorej wyobraźni tylko? Podanie a rzeczywistość, to dwie bardzo różne rzeczy. Amazonki w legendzie i w dziejach, toż kolosalna różnica pojęć! Wyobraźnia ludzka zajmuje się zawsze bardzo żywo wszystkim, co jest nienaturalnością, co odbiega od normy. Pochwycenie miecza przez drobne dłonie niewieście — toć wyjątek nielada w regule faktów orężnych zapasów człowieka.

Imaginacja starożytnych stworzyła dziwaczne państwo, rządzone i zamieszkane przez same tylko kobiety, umiejscowiane atoli raz w Europie, to znowu w Azji lub Afryce. Rzekomo z „Kaukazji" robiły owe wojownicze kobiety krwawe wyprawy na Wschód i Zachód, a wspomina o nich „Enejda" oraz historyk Justyn, gdy to pod wodzą sławnej Penthesilei brały udział w wyprawie antygreckiej pod Troją.

Umieszczone przez Strabona w Albanii, były typem bezwzględnie żądnych mordu i wojny niewiast, pozbawiających się w młodości piersi przez wypalenie, by lepiej używać ramienia do rzutu broni. Chłopców zrodzonych z czasowych związków z sąsiednimi Gargarenerami oddawały tymże, dziewczęta zatrzymywały i na nowe Amazonki wychowywały.

Ogromnie charakterystyczną rzeczą dla podania o Amazonkach jest owo wciąż właśnie zmieniane umiejscowienie ich państwa, co daje do myślenia, przywodząc przypuszczenie, że faktycznie po-



walczą

U góry na lewo:
BACZNOŚĆ!
23-letnia córka głównodowodzącego brytyjską obroną narodową, Rosemary Broocke, — która jest sierżantem sztabowym oddziału wyszkolenia angielskiej, żeńskiej Służby Pomocniczej — w czasie wygłaszania rozkazu do podwładnych kobiet.

Na lewo:
OBRAZ NIENAWIŚCI I ZŁOŚLIWOŚCI
Jedna z wielu sowieckich kobiet-żołnierzy wzięta do niewoli na froncie wschodnim. Zamarły w niej wszelkie uczucia kobiece.



dobnie gynajkokratyczne państwo mogło być wytworem fantastycznych pomysłów starożytności.

Źródłosłowem nazwy Amazonek jest wyraz „maza" — pierś, i samogłoska-dorzut „a", o znaczeniu braku czegoś.

Wszystkie kraje i wszystkie wieki miały swe „Amazonki", w pojęciu kobiet mężnych duchem, wolą, nawet czynem, gdy szło o podnietę wytrwałości, zachętę do trudów i ofiar w boju. Takim klasycznym przykładem kobiety-Amazonki, więc kobiety ogromnego hartu ducha zostanie po wsze wieki typ niewiasty-Spartanki, wolącej widzieć trupa syna swego na tarczy leżącego, niż uciekającego z pola bitwy.

Odosobnione przykłady największych poświęceń w imię porwania za sobą tysięcy czy milionów — zna historia Francji, Niemiec, Hiszpanii, Serbii, Chorwacji, Czarnogóry, a wśród wielu innych krajów i nasze dzieje, a wszędzie tam owe kobiety-bohaterki stawały się symbolem najszlachetniejszych porywów serca.

Jakże ponurymi barwami świecą wśród plejady takich „Amazonek" uszeregowane w wojskowym ordynku kobiety sowieckie, z granatem czy karabinem maszynowym w ręku! W twarzach ich zawiść, żądza zemsty, lub tępota i bezduszne jakieś posłuszeństwo. Rzuciły rodziny, kobiecą swą godność wloką na dymy i zgliszcza, w huk dział — potwornie wyzute z uczuć swej płci właściwych.

Kobieta-Amazonka czasów dzisiejszych, to oddana pomocniczej służbie wojskowej pełna zaparcia siebie i niepomna trudów czy niewygód telefonistka, telegrafistka, pracownica zakładów wytwórczości wojennej czy gospodarczej, sanitariuszka wreszcie.

Kobieta-wojownik, to **dawny mit**, a w większym ugrupowaniu zbrojnym obraz zdziczenia społecznego i kulturalnego.

Fot.: Scherl
Historia-Photo
Weltbild 2



BITWA AMAZONEK
Obraz malarza niemieckiego Feuerbacha przedstawiający według legendy bitwę amazonek.

Fot.: według oryginalnego zdjęcia wykonanego przez Franc. Hanfstaengle z Monachium

U dołu:
NOWOCZESNE AMAZONKI
Kobiety angielskie określane nazwą „Minute Women" są pod dowództwem instruktora sowieckiego szkolone do walki obronnej z nieprzyjacielskimi spadochroniarzami. Pojętni uczniowie sowieckich wzorów.





POJEDYNEK KOBIETY Z MĘŻCZYZNĄ
Rycina średniowieczna przedstawiająca pojedynek mężczyzny z kobietą. W czasie pojedynku mężczyzna musiał **stać** w dole ziemnym po pas, podczas gdy kobieta miała pełną swobodę **ruchów**.



Na prawo:
SOWIECKA KOBIETA WALCZĄCA
najgorszej sorty. Włosy krótko obcięte jak u mężczyzn, zwyrodniała, zaniedbana, chytra, podstępna. W czasie walk w jednym z odcinków leśnych wzięła ją do niewoli piechota niemiecka.

PODZIĘKOWANIE ROLNIKOM



GENERALNY GUBERNATOR PRZEMAWIA DO LUDNOŚCI WIEJSKIEJ

Od ręki lewej: Gubernator dr. Wendler, sekretarz rządowy dr. Böpple, Gen. Gub. dr. Frank i starosta Tarnowa dr. Kiepke.



WÓJTOWIE, SOŁTYSI I GOSPODARZE,

którzy w wielkiej mierze przyczynili się do pomyślnego ujęcia zbiorów w okręgu Tarnów, przysłuchują się mowie Generalnego Gubernatora.

Fot. Rösner 3



Za przykład wzorowego wypełnienia swych obowiązków kontyngentowych w granicach ujęcia tegorocznych żniw, może służyć powiat Tarnów, który odwiedził w tych dniach Gen. Gub. dr. Frank w towarzystwie sekretarza dr. Böpple, gubernatora dr. Wendlera oraz kierownika głównego oddziału wyżywienia i gospodarki p. Alberta. Starosta powiatowy dr. Kiepke powitał w kilku słowach przybyłych gości, a następnie gospodarz powiatu dr. Kunze w obecności swych niemieckich współpracowników, wójtów, sołtysów, gospodarzy i robotników rolnych, złożył krótkie sprawozdanie o szczegółach prac dokonanych w zakresie ujęcia tegorocznych zbiorów. Także Gen. Gub. dr. Frank skorzystał z okazji odwiedzin, by podziękować przedstawicielom niemieckich placówek gospodarczych w Gen. Gubernatorstwie, oraz wszystkim tym, którzy okazali zrozumienie i gotowość do pracy. — „Cieszę się, — powiedział między innymi Gen. Gub. — że wobec wzorowej postawy ludności tego powiatu wolno mi skorzystać ze szczęśliwej okazji wyrażenia jej osobiście wdzięczności. Specjalne słowa mego podziękowania odnoszą się do p. wójtów, którzy wykonują funkcję bezpośrednich łączników pomiędzy niemieckimi władzami a ogółem ludności. Szczególną radością napełniła mnie wiadomość o tym, że przedstawiciele miejscowego duchowieństwa w sposób naprawdę dostojny współpracowali dla dobra swych rodaków przy tegorocznych zbiorach. Słowa mego podziękowania skierowane są również pod waszym adresem chłopi i rolnicy narodowości polskiej, jak i do was kobiety, dziewczęta i chłopcy... Dążymy do tego, abyśmy mogli zagwarantować rozwój również rolnictwu na ziemiach Generalnego Gubernatorstwa i to w stopniu jak najwyższym."

Z WYSTAWY PRZECIWTYFUSOWEJ W KRAKOWIE



Czystość i porządek, to zdrowie — zaniedbanie i niechlujstwo, to choroba.

Z tego założenia wychodząc, zorganizowana została z ramienia Wydziału Głównego dla spraw zdrowotnych w rządzie Generalnego Gubernatorstwa, odbywająca się obecnie w Krakowie w bocznej sali Starego Teatru „Wędrowna Wystawa Przeciwtyfusowa".

Podzielona na dwa oddziały, a to: epidemij i ich skutków, oraz klęski tyfusu plamistego w szczególności, omawia Wystawa Przeciwtyfusowa powody i sposoby zakażenia, przebieg, walkę z infekcją oraz możliwości ochrony przed tą groźną chorobą zakaźną.

W sposób zwięzły a przystępny przedstawiono na afiszach, oryginalnych zdjęciach, dioramach, fotomontażach i statystykach całokształt zagadnień pozostających w związku z epidemią tyfusu plamistego.

Nader rzeczowo opracowany jest dział fotograficzny, ilustrujący pracę w laboratoriach bakteriologicznych, produkcję szczepionki przeciwdurowej, organizację nadzoru lekarskiego i drużyn odkażających.

Ważnym uzupełnieniem Wystawy jest zestawienie wskazań higieniczno-zapobiegawczych, jako atut pierwszorzędnej wagi w walce z tyfusem plamistym.

Kilkunastotysięczna rzesza ciekawych, która dotąd zwiedziła już Wystawę, — to najlepsza miara powodzenia tej nader pożytecznej imprezy.

Należy zaznaczyć, że stoiska Wędrownej Wystawy Przeciwtyfusowej przewidziane są we wszystkich większych miastach Generalnego Gubernatorstwa.



ZANIEDBANE WNĘTRZE MIESZKALNE — ROZSADNIKIEM CHORÓB ZAKAŹNYCH



W każdym okręgu wydano zarządzenie dla zwalczania tej właśnie w okresie zimowym często epidemicznie występującej choroby. W związku z powyższym pozostaje także akcja uświadamiająca w większym stylu, która ma na celu pouczenie całej ludności Generalnego Gubernatorstwa zarówno o niebezpieczeństwie tyfusu plamistego jak i o metodach zwalczania infekcji. Władzom okręgowym względnie pełnomocnikom władz lekarskich został oddany do dyspozycji materiał celem zorganizowania podobnych wystaw dla najszerszych warstw ludności także i na prowincji.

FOT. BOREK



Streszczenie pierwszego odcinka

W pensjonacie Florentyny Dęborówny po raz wtóry znikła młoda dziewczyna. Ruch, przestrach, domysły. Poszukiwania nie naprowadziły na żaden najmniejszy ślad. Znaleziono jedynie drogocenny grzebień, będący własnością Edith Ferallano, serdecznej przyjaciółki Flory, która ją często odwiedzała, ale w czasie zniknięcia panny Ewy Bronówny nie była obecną w pensjonacie. Śledztwo w toku. Przesłuchiwano Florę, a następnie inżyniera Stanisława Grzebińskiego.

— W jakim charakterze pracuje pan u panny Dęborówny?

— Jestem szoferem.

— Tylko szoferem? niczym więcej?

— Owszem. Powierzony mam ogólny nadzór nad całym majątkiem mej pracodawczyni. Poza tym załatwiam wszelkie sprawy, jestem niejako jej plenipotentem.

— A że podjął się pan prac szoferskich, posiadając uniwersyteckie wykształcenie i taki d u ż y m a j ą t e k...

— Mam dyplom szofera i mechanika. Moim obowiązkiem jest strzec dobra panny Dęborówny, więc nie zgodziłem się na przyjęcie szofera. Mam dość czasu. Doskonale mogę sam to robić.

— Czy panna Dęborówna proponowała panu pracę, czy pan sam prosił o nią?

— Ja prosiłem!

— Dlaczego właśnie u niej i to w takim charakterze?

— Przecież coś robić trzeba, panie komisarzu. A co dotyczy pytania, dlaczego właśnie u panny Dęborówny, to odpowiem, że specjalnie zależało mi na tym.

— Dlaczego? Ja właśnie zauważyłem, że pana i panią Dęborówną łączy pewna... że tak powiem... zażyłość, przyjaźń. Jest to zadziwiające z uwagi na stanowisko pana, jako szofera. Pan wybaczy, że pytam o to, ale ja tylko urzędowo jestem w tym zainteresowany...

— Najchętniej służę wyjaśnieniem. Pannę Dęborówną znam od najwcześniejszego jej dzieciństwa. Jest, tak jak i ja, góralką. Rodzice nasi posiadali majątki koło siebie. Ojciec panny Dęborówny, umierając, prosił mnie, bym się opiekował nią, jak siostrą, służył jej pomocą i radą w potrzebie, gdyż nie posiada nikogo, prócz brata, młodszego od niej o kilka lat, Tomasza, przebywającego w Paryżu, w Konserwatorium Muzycznym.

— Tak, wiem to już. Mam wrażenie, że z przyjemnością podjął się pan tej opieki — odważył się zauważyć żartobliwie komisarz.

— Panna Dęborówna zaszczyca mnie swym zaufaniem — rzekł zimno Stanisław.

Komisarz nagle zmienił temat.

— To pan znalazł grzebień pani Ferallano?

— Ja!

— Gdzie on leżał?

— W pobliżu lasu, pomiędzy drzewami.

— Czy panna Ferallano często tu bywa?

— Często. Jest przyjaciółką panny Dęborówny.

— Czy jest pan całkiem pewien, że jest to grzebień panny Ferallano?

— Tak jest! Zawsze widywałem go w jej włosach.

— Hm... Kiedy ostatni raz widział pan zaginioną Ewę Bronównę?

— W dzień zaginięcia odwoziłem ją do Zakopanego i przywoziłem z powrotem do pensjonatu.

— Czy nie zauważył pan u niej jakiegoś zdenerwowania, lęku... niepokoju?...

— Nie! Była to osoba bardzo spokojna i zrównoważona, mimo młodości.

— Jak pan przypuszcza, co się z nią mogło stać?

Chłodne oczy Grzebińskiego stały się zimne jak lód. Równocześnie jednak w głębi jego ostrych źrenic mignął cień niepokoju i zaciekawienia, ale tak krótki, że nie dostrzegło go nawet bystre spojrzenie komisarza.

— Dlaczego pan komisarz pyta mnie o to?

— Bo wszystkich pytam. Jest to moim obowiązkiem. Bardzo często zdarzają się wypadki, że pójście po linii przypuszczeń ludzi zupełnie w sprawie niezainteresowanych, naprowadza na właściwy ślad.

— Niestety! niczego nie przypuszczam i niczego nie podejrzewam, a zwłaszcza nikogo nie podejrzewam. Mam wrażenie, że wszystkie osoby, żyjące w tej chwili w obrębie Hotelu Wielkiego, równie jak ja są zaskoczone wypadkiem i nie wiedzą, co o nim sądzić. Panna Bronówna zginęła bez śladu, a jednak wyszła z domu dobrowolnie. Wszystko przemawia za tym.

— Tak, to prawda. Właścicielka pensjonatu, to znaczy... przepraszam pana... panna Dęborówna, jest ogromnie przygnębiona. Wypadek rzeczywiście jest przykry, przykry i... dziwny, już drugi w obecnym roku. Przecież kilka miesięcy temu zdarzył się zupełnie podobny. Jestem przekonany, że pozostają one w ścisłej łączności ze sobą i z góry wykluczam możliwość samobójstwa. Ten krzyk w nocy... To na pewno nie było złudzenie... A po cóżby krzyczała? Jeżeli zaś nie opuściła domu w zamiarach samobójczych, to poco wychodziła w ogóle, w ciemną noc, bez ubrania, w koszuli nocnej; nikt jej nie wykradł, bo w pokoju stwierdzono najzupełniejszy porządek.

Grzebiński słuchał. Słuchał całym sercem i całą duszą. Patrzył w twarz komisarza jasno, przejrzyście i przenikliwie. A komisarz mówił z ufnością, nie tając swych myśli. Był to człowiek nadzwyczaj bystry i jako fachowiec niezwykle zdolny. Natychmiast zorientował się, że Grzebiński — gdyby tylko chciał — mógłby powiedzieć wiele rzeczy, i że żadne jego słowo nie byłoby bez znaczenia.

— Powiedział pan w tej chwili między innymi, że nikogo pan nie podejrzewa. To coś znaczy! Równie, jak ja, wyklucza pan w ten sposób samobójstwo i jest zapatrywania, że tu działa jakaś obca zbrodnicza ręka. Prawda?

Grzebiński spuścił głowę i lekko przybladł.

— Temu nie zaprzeczam! — rzekł głucho.

— Niech mi pan powie, jakie są pańskie osobiste podejrzenia. Zapewniam, że nie wykorzystam tego ze szkodą dla pana. Każde pańskie słowo ma dla mnie wartość talara.

— Panie komisarzu, mnie nikogo podejrzewać nie wolno. To nie moja rzecz. Pan tu przebywa z ramienia sprawiedliwości i wasze oczy niech szukają winnych. Mnie tylko jedno dyktuje rozum i to ośmielam się powiedzieć dlatego, że mnie pan komisarz zapytuje o to: przeciwnik wasz jest tak mocny, że z góry jestem przekonany o bezowocności pańskich najlepszych wysiłków, pracy i trudów. Jako ostateczny argument niech panu komisarzowi posłuży fakt, że i panny Mierzyńskiej nie znaleziono. To mi powiedzieć wolno. Oczywiście są to tylko moje przypuszczenia. I nie dla pana, nie dla sprawiedliwości, ale dla nieszczęśliwego ojca i dla panny Dęborówny — och, dla niej — mówię panu: niech wam Bóg szczęści!

Grzebiński wstał. Komisarz natychmiast uczynił to samo.

— Dziękuję panu, panie inżynierze! W tak osobliwym wypadku potrzebuję nie tylko świadków, ale i sprzymierzeńców, pomocników... Do widzenia, w razie potrzeby!

Grzebiński ukłonił się nisko. Serdecznie uścisnęli sobie ręce.

— Może pan w zupełności liczyć na mnie! — rzekł Grzebiński z wymownym spojrzeniem.

Gdy drzwi zamknęły się za Stanisławem, komisarz usiadł przy biurku i pogrążył się w zamyśleniu. Minuty biegły jedna za drugą, a on siedział wciąż z czołem pofałdowanym i zmarszczoną brwią.

„Przeciwnik wasz jest tak mocny, że z góry jestem przekonany o bezowocności pańskich najlepszych wysiłków..." — Te słowa brzmiały mu w uszach bezustannie, uparte i nieubłagane. I w zadumie spoglądał na drzwi, za którymi znikła wyniosła postać Grzebińskiego.

III.

Edyth serdecznie objęła dłońmi obie ręce Flory. W jej przepięknych, niewypowiedzianie czarnych oczach widać było współczucie i łzy.

— Ty się zamęczasz, Floro!

Dęborówna nie odrzekła nic.

— Tak dalej być nie może! Jesteś zupełnie wyczerpana i przemęczona. Jeszcze rozchorujesz się od tych wszystkich zmartwień.

Florentyna milczała z uporem. Edyth spoglądała niespokojnie w jej przygnębioną twarz. Postanowiła za wszelką cenę wyrwać przyjaciółkę z martwoty, w jaką wtrąciło ją ostatnie nieszczęście.

— Floro, słuchaj! Zaraz rzuć to wszystko: Pozostaw Mariannie cały ten kram i jedź ze mną. Nie możesz, absolutnie nie możesz tu zostać! Zabije cię ta apatia. W tym, co się stało, nie ma twojej winy i nic na to poradzić nie możesz, a niepotrzebnie tracisz zdrowie. Wyjeżdżam do Krakowa, a stamtąd Bóg wie dokąd! Jedź ze mną! Pewnie wstąpimy do Paryża — zobaczyłabyś przy tej okazji swojego Tomka. No, Floro — prosiła miękkim głosem — pojedziesz ze mną, nieprawda?!

Florentyna podniosła głowę. Miała łzy w oczach. Były to łzy wdzięczności i rozrzewnienia. Nagle zarzuciła ręce na szyję Edyth.

— Jakaś ty dobra!

Edyth uśmiechnęła się słodko i smutno.

— Jedziesz ze mną?

— A kiedy chcesz jechać?

— Ja? Floro, już, choćby zaraz! Zresztą im prędzej, tym lepiej dla ciebie.

— Ależ, Edyth...

— Jakie „ale?" Poco wynajdujesz sobie trudności? Tyle razy już wyjeżdżałaś, a goście twoi nie pomarli z głodu!

— Nie o to idzie. Wydaje mi się tylko, że jednak..., że powinnam czas jakiś jeszcze zostać tu.

— Właśnie nie powinnaś i nie zostaniesz! Oczywiście, Floro, że zrobisz jak zechcesz, jesteś panią swej woli, ale uwierz mi, że pragnę twego dobra. Serdecznie ucieszę się, jeżeli rzucisz w kąt swoje zgryzoty i fruniesz z tego piekła w świat szeroki.

Zerwała się i już krążyła po całym pokoju z żywością swej rasy. Była bardzo wysoką i bardzo szczupła, o skórze tak ciemnej, że robiła wrażenie posągu z bronzu. Włosy miała tak hebanowe, że czarna główka Florentyny wyglądała przy nich, jak popielata plama. Włosy te, zaczesane gładko z przedziałem przez środek głowy, spięte były z prawej strony p i ę k n y m grzebieniem wysadzanym b r y l a n t a m i.

Florentyna wodziła oczyma za krzątającą się żywo Edyth i nagle, zerwawszy się, pobiegła spiesznie ku toalecie.

— Acha, Edyth, byłabym zapomniała...

— Co takiego?

— Twój grzebyk! Masz! Zgubiłaś go koło lasu! Całe szczęście, że Stanisław znalazł go.

Edyth zbladła. Czarne jej oczy rozszerzyły się niepokojem i przerażeniem. Widząc jednak, że F l o r a patrzy w inną stronę opanowała się szybko.

— Dziękuję ci bardzo! Rzeczywiście, że byłam ogromnie zmartwiona. Nie miałam pojęcia, gdzie on mi się mógł podziać.

Podniosła długie szczupłe ramiona i przepięła grzebykiem włosy z lewej strony. Przerażone przed chwilą jej oczy były teraz zamyślone i smutne.

W kilka godzin później opuszczały Hotel Wielki. Służba zniosła, do czekającej na dziedzińcu limuzyny, walizki Flory i podręczną walizeczkę Edyth.

Grzebiński zawiadomił panie, że wszystko jest gotowe do odjazdu.

Gdy wyszły, Stanisław przywitał Edyth głębokim ukłonem. Wdzięcznie skłoniła mu swą egzotyczną głową, posyłając równocześnie uśmiech pełen przyjaźni. Stanisław wyprzedził panie i otworzył drzwiczki limuzyny.

Edyth szła pierwsza. Postępująca w odległości kilku kroków za nią Flora zauważyła ze zdziwieniem, że oczy Grzebińskiego spoczywają z uporem na czarnych, niczym nieosłoniętych włosach Hiszpanki. Oczy te były zimne i surowe. Przeszła koło Stanisława, zadając mu wzrokiem nieme pytanie. Edyth tymczasem usadowiła się wygodnie w głębi wozu i czekała na Florę. Z kolei ona teraz spojrzała na Stanisława i dostrzegła, że oczy jego są łagodne i miękkie, jak jedwab. I znowu na ustach jej ukazał się dziwny, tak jej właściwy, biorący za serce uśmiech, w którym była równocześnie nieśmiałość dziecka i dobroć bezgranicznie pobłażliwej matki.

Wieczorem obie przyjaciółki siedziały wśród drzew, ocieniających willę panny Ferallano.

Słońce zachodziło i, schyliwszy się nisko nad ogrodem, wyglądało w objęciu bujnej zieleni jak płomienna, dojrzała pomarańcza, zawieszona na olbrzymim krzaku.

Niebo było jasno-turkusowe. Snuły się po nim chmury, miękkie i białe, jak kłęby waty. Zachód przeświecał przez nie, zabarwiając ich brzegi na różowo i złoto, że wyglądały jak aplikowane kolorową tkaniną.

Czerwonawe smugi kładły się na powierzchni stawu, różowiąc śnieżne pióra płynących po wodzie łabędzi. Ze środka stawu tryskała w górę fontanna, rozpryskując się miliardem kropel w bajecznie tęczowy pióropusz.

Flora oparła się łokciami o bambusowy stolik i objęmowała ogród swymi łagodnymi oczyma. Edyth siedziała naprzeciw niej i, zaciągając się zwolna papierosem, nie zdejmowała z niej wzroku. Uwagę jej przyciągał nieodparcie cudny, słodki p r o f i l, o chybotliwych ogromnych rzęsach i leciuchno orlim nosku. Bardzo bujne czarne włosy, same wijące się w puszyste kędziory, podnosiły jeszcze subtelność twarzy białej, jak śnieg, białej, jak lilia, ledwie dostrzegalnie przyzłoconej słońcem na skroniach. Śliczne jasno-różowe usta, zmysłowe, pełne, o zadartych w górę kącikach, układały się w wyraz dziecinnej pustoty, dziewczęcej zalotności i kobiecej powagi równocześnie.

Ale najpiękniejszym szczegółem twarzy Flory były oczy, wielkie przecudne oczy, koloru granatowego atramentu. Były to niezrównane po prostu oczy dziecka i człowieka, oczy-gwiazdy, oczy-kwiaty, szeroko rozwarte i wilgotne, jak odwiecznej rosy, to wesołe i roziskrzone, to rozmarzone i pełne smutku, zaczajone cicho w czarnej gęstwinie przeolbrzymich, zagiętych w górę rzęs i ociężałych powiek.

Maleńka główka, piękniejsza od wszystkich obrazów i rzeźb, wykwitała, jak kwiat na łodyżce, na s m u k ł e j kibici. Drobna i szczupła, była skończoną harmonią kształtów i ruchów. Gdy delikatny wiatr poruszał jej jasną sukienką, oblepiając nią ciało Florentyny, Edyth myślała, że tak mogłoby wyglądać najcudniejsze z bóstw, a okrzyczane arcydzieła sztuki, stworzone przez geniuszów w chwili boskiego natchnienia, są śmieszną, pozbawioną piękna i wyrazu masą w porównaniu z tą cudną polską dziewczyną z gór.

Oprócz panny Ferallano ktoś inny jeszcze patrzył na Florę, lecz ona spojrzenia tego nie czuła. Edyth była widocznie bardzo wrażliwa, bo gdy z kolei spojrzenie to

Dalszy ciąg na stronie 8-mej

Historia z pawicą

wcale nie humoreska

Był dziwny w mym życiu przypadek (co prawda raz wtóry),
Że ja — quasi orzeł — goniąc za orlicą
Uznałem, że właśnie dopadłem
Samicy swego rodzaju.
I byłem szczęśliwy
Jak... ptak!
Aliści, gdy natarłem zdobywczo dziobem i pazurem,
Usłyszałem wrzask (wcale nie orli)... pawicy,
Zrozumiałem, że tak jakby wpadłem,
Ziemię stosując do Raju.
Dowód nierychliwy,
Żem... żak!.
„Łoczywiście" na razie zgłupiałem, jak ta mądra sowa,
Która widzi wszystko, co w cieniu ukryte,
Lecz nie widzi rzeczy za dnia oczywistej:
Nie lwica, orlica,... lecz właśnie pawica
Jest symbolem głównym
Tej... płci!
Co było robić? Więc jako filozof, oraz quasi orzeł
Chociaż z całej historii wyszedłem jak zmyty,
I poczułem „kociokwik" (jak po większej „czystej")
Otrzeźwiawszy... kichnąłem jak z bicza:
(To się zdrowiu równa)
Aa!... Psik!

Jacek Strzemię.

Ciąg dalszy ze strony 7-mej

spoczęło na niej, odczuła je i poruszyła się niespokojnie; w oknie na parterze stał Grzebiński. Edyth spojrzenie jego ciążyło, jak kamień i odbierało zwykłą pewność siebie.

Nagle Florentyna podniosła się i wolno podeszła do stawu. Łabędzie natychmiast przypłynęły ku niej. Schyliła się i wyciągnęła do nich ręce. Edyth wstała również i poszła za nią. Ukradkiem spojrzała na Stanisława: nie spuszczał oczu z jasnej postaci, schylonej nad wodą.

— Floro!

Czarna główka podniosła się.

— Czego chcesz, Edyth? Chodź tu!

— Wpadniesz do wody!

— Nie! wiesz, że te ptaszyska są przemiłe!

Łabędzie zbiły się w ciasną gromadę, wyciągając długie szyje ku dłoniom dziewczyny. Pokazywała im ze skruchą, że niestety nic nie ma do rozdania. Więc Edyth przyniosła jej bułkę. Rozdawała sprawiedliwie, po kolei, śmiejąc się i karcąc łabędzie, które łapczywie porywały kęs, należny towarzyszowi.

IV.

Agnes stanęła z tyłu za fotelem i pochyliwszy się objęła matkę ramionami.

— Mary droga! będziesz musiała przeprosić naszych gości, ale ja nie zejdę dziś na obiad!

Pani Balfoor podniosła głowę i spojrzała na córkę zdumiona.

— Dlaczego, Agnes? co ci się stało?

Dziewczyna wyprostowała się i przeciągnęła ręką po czole. Była bardzo blada.

— Nie wiem, Mary! Jestem okropnie śpiąca! Nigdy jeszcze tak mi się spać nie chciało!

M a r y   w s t a ł a i niespokojnie spojrzała w twarz córki.

— Połóż się zaraz dziecko. Mój Boże! Tak późno poszłaś wczoraj spać! Tak długo grałaś w tenis! A taki był upał, Agnes! Musisz koniecznie wypocząć. Jutro nie wstaniesz zupełnie. Zaraz chodź do swego pokoju!

Owinęła dziewczynę ramionami i prowadziła delikatnie ku drzwiom.

Nagle Agnes zachwiała się i upadła na podłogę, pociągając matkę za sobą.

— Agnes! Agnes! — krzyknęła Mary przeraźliwie i zerwawszy się z podłogi zadzwoniła gwałtownie na służbę.

Wpadły przerażone dziewczęta. Blada, jak trup, Mary przy ich pomocy podniosła córkę z ziemi. Zaniesiono ją ostrożnie do sypialni i złożono na rozesłanym naprędce łóżku.

Mary drżącymi dłońmi rozbierała córkę, płacząc cicho, lecz Agnes nie czuła i nie słyszała już nic — była nieprzytomna.

* * *

— Więc panowie nie pozostawiacie mi żadnej nadziei?

— Niestety! Czyniliśmy wszystko, co leży w ludzkiej mocy. Jesteśmy bezsilni i świadomość ta przejmuje nas niewypowiedzianą boleścią!

W gabinecie zapanowała głucha i ciężka cisza. Balfoor stał przy oknie, obrócony profilem do lekarzy i paląc nerwowo papierosy jednego za drugim spoglądał uparcie przed siebie.

Był to wysoki i bardzo szczupły, prawie chudy mężczyzna o starannie wygolonej twarzy, długiej, nieładnej, ale niezwykle pociągającej. Siwiejące na skroniach włosy dodawały jeszcze surowości tej twarzy, która nawet teraz, gdy w głębi duszy targała nim bezbrzeżna rozpacz, nie zmieniła się prawie, była tylko blada i smutna.

Lekarze spoglądali na niego w milczeniu, frasobliwi i zmieszani, jak ludzie, którzy wiedzą, że zawiedli położoną w nich ostatnią ufność.

— Więc dla córki mojej nikt nie znajdzie ratunku? — spytał wreszcie.

Podniósł się przewodniczący consilium lekarskiego.

Ciąg dalszy nastąpi

BŁĘKITNE OCZY

NAPISAŁ TADEUSZ MULTAŃSKI

Są w życiu dziwne, niepojęte chwile, kiedy staje człowiek przed naiwnym może, ale koniecznym pytaniem: „co dalej"? Energia wyczerpała się, dawna chęć do życia minęła bezpowrotnie.

— Co dalej? No tak, co dalej? I czy w ogóle jest chęć do jakiegoś „dalszego ciągu"? Co zrobić, — myślał Andrzej Szarycki, — aby życie coś znaczyło, bo przecie teraz jest dla mnie niczym, kompletnie niczym. Wcale bym się nie obraził, gdyby ktoś teraz strzelił do mnie przez okno. — Rozejrzał się po pokoju, potem zaklął z widomą złością: — Psiakrew! mieszkam na czwartym piętrze!

Od kilku dni nie wychodził nigdzie. Po prostu nie mógł się ruszyć. Bo i po co? No tak, trzeba by, koniecznie trzeba by, ale... Cóż tam, do diabła, jeszcze przez dwa, trzy dni będzie miał co jeść, a potem nerwy „naładują się energią".

I znów rozmyślałby o tym samym do wieczora, jak wczoraj, jak od kilku dni, gdyby jakieś licho nie poniosło oczu w stronę okna. No tak: licho. Bo po co mu...

Oniemiał. Dosłownie oniemiał. Takich ślicznych, błękitnych oczu nie widział jeszcze nigdy w życiu. Takich cudnych, czerwonych ust! Nie! Zwariować można. Stoi sobie ta wiotka piękność naprzeciw w oknie, patrzy bezczelnie na niego i drwi, wyraźnie drwi z jego grobowej miny.

— A niech to! — Najchętniej pokazałby język.

Opanował się i podszedł do okna. „Błękitne oczy" patrzały na niego, usta rozchyliły się w cudownym uśmiechu.

— Panie Andrzeju, niech pan nie robi z życia dramatu, a ze swego pokoju grobowca rodzinnego — przemówiła i zniknęła w głębi pokoju.

— Skąd ona wie? Skąd w ogóle wie, że jego imię Andrzej? Może jeszcze wie, że... No oczywiście — wie! Ma tupet! Kto to jest? Najlepiej dowiedzieć się. Tak, musi się dowiedzieć koniecznie. W tej samej chwili dostrzegł tajemniczą nieznajomą; wychodziła z domu naprzeciw.

Porwał kapelusz i zbiegł po schodach. Dogoni ją i tak samo bezczelnie jak ona zapyta się.

— Co się zapyta? Chyba nie to, czy zechce zostać jego żoną.

Dostrzegł ją. Idzie jakieś sto kroków przed nim. Obejrzał się. Przyśpieszyła. Wyraźnie chce uciec. Ale nie, nie tak prędko. Nie uda się... Nie, nie...

— Co? Pech psiakrew! Weszła do bramy. Co to za brama? — myśli. — Zaraz zobaczymy.

Czteropiętrowa kamienica z dwudziestoma lokatorami. I odszukaj teraz, do którego poszła ona: „Błękitne oczy".

Więc czekać. Najlepiej czekać. Przecie kiedyś wyjdzie z tego domu. Jeżeli poszła do przyjaciółki, to za godzinę, jeżeli do krawcowej, za dwie. Chyba..., a jeżeli do przyjaciela... brrr... gotowa tam być całą noc.

Naprzeciw kawiarnia. Tam zaczeka. Zegarek: piąta. Do zachodu słońca jeszcze trzy godziny.

Usiadł przy stoliku przy oknie.

— Nie, do przyjaciela nie chodzi się o piątej po południu — uświadomił sobie. Odetchnął z wyraźną ulgą.

Przechodziły minuty. Andrzej wpatrzony w bramę naprzeciwko, czekał.

Godzina przeszła — więc nie była u przyjaciółki.

Dwie godziny — więc nie u krawcowej. Zresztą przypomniał sobie, że na spisie lokatorów nie było żadnej krawcowej.

Stracił wreszcie nadzieję, że zobaczy ją dzisiaj. Zrezygnowany powlókł się do swojego mieszkania na czwartym piętrze.

Co tu dużo gadać: Wyraźny pech. Mieć prawie „w rękach" taką piękną boginię, która w dodatku odzywa się pierwsza do niego i... Drwiła z niego, czy może dążyła do tego, aby go poznać?

Mimowoli zaczął myśleć o tym, co ostatnio wytrąciło go z równowagi. Pracował w redakcji „Dziennika porannego" od roku. Ostatnio został nawet redaktorem działu literackiego. I właśnie od tego się zaczęło. Cóż on był winien, że jego pomysł nie podobał się naczelnemu redaktorowi? A przecie ten pomysł był genialny.

Ale to tak jest, gdy się ma dwadzieścia sześć lat, pełno zapału, a brak do tego „pleców". Nie postawisz na swoim, chociażbyś się uparł i naprawdę był mądry. A ustąpić? Za nic na świecie. Ominąć jedyną okazję dojścia do głosu, do wybicia się? Raczej podziękować za posadę. I tak też zrobił Andrzej.

Od miesiąca jest bez pracy. Próbował wkręcić się do redakcji „Tygodnika Nowości", ale i tam widać zmówili się na niego. Nie zaimponowała im jedyna jego wydana powieść „Ścieżki".

Rezultat: Andrzej skazany został przynajmniej na razie na pędzenie życia typowego „głodnego literata" i jedna, czy druga nowela, jakiś artykuł, raz po raz idiotyczny wiersz miłosny, podpisany pierwszym lepszym pseudonimem.

— No, tak, ale przez dwa tygodnie nie mogłem nawet zdobyć się na napisanie bodaj najgłupszej noweli. I jak tak dalej pójdzie.

Przerwały się myśli, gdy wchodził na czwarte piętro. Z daleka dojrzał biały kwadrat papieru pinezką przypięty do drzwi.

— Co to? — Długa pachnąca koperta.

„Panie Andrzeju. Detektywem pan nie będzie nigdy, ale sławnym powieściopisarzem na pewno. Za to ręczę. Tylko niech pan nie rozpacza. I nie będzie taki zrezygnowany. Niech pan zwróci uwagę na konkurs, jaki ostatnio ogłosiła „Nasza książka". I wyjaśniam krótko, o co mi chodzi: podam panu szkic powieści, który pan ewentualnie może zmienić, a którą napiszemy na spółkę (nie pytam się, czy się pan zgodzi). Jeżeli panu ten szkic będzie się podobał i jeżeli ma pan ochotę zawrzeć spółkę, to proszę jutro rano rzucić list do skrzynki pocztowej, zaadresowany: „poste-restante dla Anety". A. więc do jutra. Błękitne oczy.

P. S. Prawda, że tak mię pan nazwał?"

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytał załączony szkic.

— Bajeczny. Tylko na takie zakończenie się nie zgodzę. Absolutnie.

W kilka minut później pisał list:

„Błękitne oczy!" Tak, ma pani rację, tak panią nazwałem. Propozycję przyjmuję, proszę o bliższe dane co do naszej współpracy. Tylko naprawdę, niech „Błękitne oczy" nie dają długo czekać na odpowiedź, bo oszaleję — Andrzej".

Nazajutrz o godzinie drugiej po południu otrzymał przez posłańca kartkę.

„Celem omówienia warunków czekam o piątej w kawiarni, w której bawił się pan wczoraj w detektywa".

A więc godzina czekania. Próbował czytać, próbował odpisywać na listy, wszystko na nic. Czas wlókł się jak zreumatyzowany staruszek, drwiąc sobie z jego podniecenia.

— Właściwie, dlaczego się denerwuję? No tak, pomysł jest pierwszorzędny, taka powieść napewno zdobędzie nagrodę, no i panna... „Błękitne oczy"...

Pół godziny przed piątą siedział w kawiarni, aby co chwilę patrzeć na zegarek i na drzwi. Denerwował się.

— Jest pani punktualna. — Potrącił stolik, omal się nie przewrócił. Podając rękę niezbyt wyraźnie powiedział swoje nazwisko i zaczerwienił się jak sztubak. Był jeszcze na tyle przytomny, że zamówił dwie kawy, jakieś ciastka.

— Niech się pan opanuje. Musimy spokojnie porozmawiać.

Zdołał jakoś powiązać roztrzęsione nerwy i już był spokojny.

— A więc od jutra zaczniemy pisać. Doskonale. Tylko gdzie? U mnie. Tak, najlepiej u mnie. Od godziny trzeciej popołudniu.

— Zgadzam się, panie Andrzeju.

*

— Trzeci rozdział skończony. Dobrze się pisze, prawda?

— Dobrze, „Błękitne oczy". Tylko warto by napić się koniaku.

— Żebyś mię potem próbował pocałować.

— Chociażby dlatego! — roześmiał się. — W życiu mało miałem słodkich dni, więc nie dziw się, że pragnę twoich pocałunków.

— Tylko na razie nie udało ci się.

— Słusznie powiedziałaś: na razie. Ale uda się na p vno!

— Jesteś za pewny.

No, tak, był za pewny siebie. Bo i tym razem nie pozwoliła na pocałunek.

— Ja chyba oszaleję!

— To nie skończymy powieści — przerwała.

— I ja... ja chciałabym ci coś powiedzieć. — Stała się dziwnie poważna. — Ale jeszcze nie teraz, Andrzeju. Dowiesz się, a wtedy zrozumiesz.

*

„Zdobyliśmy pierwszą nagrodę — pisała Aneta. — Wiem, co byś mi teraz zaproponował: abym została twoją żoną. Kiedy, widzisz, to byłoby zbyt banalne zakończenie naszej historii, zbyt powieściowe. Życie jest inne. Ponieważ w powieści jest tylko miłość do śmierci, więc zapomnisz na pewno. Nie łączy nas żaden pocałunek, tylko ta powieść wspólnie napisana Więc zapomnij. bo ja... mam męża. Męża, którego nie kocham, ale który jest dla mnie anielsko dobry. I nie opuszczę go, chociaż pokochałam ciebie.

Gdy będziesz czytał ten list, ja już będę daleko. Nie znalazłbyś mię na pewno, więc nie szukaj.

*

Andrzej siedzi przy stole, na którym leży kilka listów.

Propozycje z wydawnictw, z redakcji czasopism. Wystarczy przyjąć jedną taką propozycję, aby życie stało się beztroskim. Można miło urządzić sobie mieszkanie...

I co poter ? Czy szukać innych „Błękitnych oczu". Bo o tych ślad zaginął.

Tamte były jedyne, więc nie znajdzie. Głęboka zmarszczka rozorała czoło.

— Co dalej? No tak, co dalej? I czy w ogóle jest chęć do jakiegoś „dalszego ciągu" jeżeli nie ma „Błękitnych oczu"?...

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

NIEZWYKŁY SZANTAŻ

NAPISAŁA: HELENA ZAKRZEWSKA

Pastuch od dworskich krów, Bartłomiej Kubała, uchodził we wsi za czarownika. Może i był czarownikiem.

Umiał zamówić różę, okadzić konającego, nawarzyć lubczyku dla nieszczęśliwie zakochanej dziewczyny, nastawić zwichniętą nogę, wypuścić parę z rozdętego na koniczynie bydlęcia, dźwiękami piszczałki wyprowadzić szczury z piwnicy, wskazać paluchem gdzie należy wykopać studnię...

Włóczykij. Bywalec. Służył swego czasu w carskim wojsku i zwiedził kawał świata. Bił się z Japończem pod Władywostokiem. Paryż też obejrzał w piętnastym roku i tam się ponauczał przeróżnych sposobów i paskudztw.

Mówiono, że żaby wyławia po bajorach, piecze na patyku i zjada.

Kląć po francusku też nieźle umiał i nieraz, roztrząsając widłami podściółkę pod krowy, dobrze nasadził od niezrozumiałych: — pardon — adiu — de l'eau. — A także i od — du pain — (co brzmiało coś jakby po naszemu).

Nie był jeszcze tak bardzo stary, a na żadną z dziewcząt nawet spojrzeć nie chciał.

— Nie na takie tam baby napatrzył się jo w Paryżu! — mawiał i spluwając dodawał:

— Ale i tamoj też nic osobliwego nie widziałem. Na całym świecie, jak wielgi, une są wszyćkie jednakie: jak nie małpa, to jędza!

Od ludzi stronił, a jeno do swego psa umiał przemawiać godzinami i cackał się z nim jak z dziecią̨tkiem.

A brudny był nad pomyślenie. Zawszony, cuchnący, obdarty, bosy. Nigdy nie golony, nigdy nie strzyżony, obrósł jak niedźwiedź szpakowatymi twardymi kudłami. Nawet mu z uszów sterczały.

Pobożny był też. A jakże! Latem pasał bydło, ale zimą dużo wysiadywał w kościele i na nieszporach wyśpiewywał przez nos nabożne pieśni. Nadszedł czas na kolędy, to i całej gęby nie żałował: — Bóg się rodzi, moc truchleje — ryczał baranim głosem. A mało tego. Nieraz, w księżycowe noce pętał się po cmentarzu i różaniec odmawiał. Bywało, że i krzyżem tam leżał.

— Ten pastuch ma kiełbie we łbie — mawiał o nim pan hrabia, kręcąc palcem po czole. To pewno. Ot dziwak, mruk i nic dobrego.

O pieniądze nie dbał. Wtykał mu kto w łapę złotówkę za leki, to brać nie chciał.

— Złóż, bracie, w kościele na okfiarę...

A wypłacaną pensję składał u księdza „na uczciwy pochówek".

Niby coś jakby święty, ale taki to tam i święty. Raz do roku, na Sylwestra, wstępował do karczmy i pił na umor. A wtedy język rozwiązywał mu się coś nie coś i dziwy opowiadał. Mówił o objawieniach. Mówił, że wie po co żyje na świecie. Mamrotał coś o walce z Archaniołem Michałem: — Un na mnie z mieczem... Jo na niego z pięścią — bełkotał, wymachując rękami, a nic się kupy nie trzymało. Czasami opowiadał o diabłach, co nocą do niego podłażą, o dziwożonach, o strzygach, o rusałkach...

— Czarownik i juści!

A ta opinia — słusznie czy niesłusznie — wzmacniała się z każdym tygodniem.

— Oczarował pannę hrabiankę — szeptała służba pałacowa.

Bo też dziwne rzeczy działy się tutaj..

Codziennie, o zmroku, jak tylko dworskie krowy były już zdojone, Kubała zjawiał się w kredensowej sieni.

— W jenteresie do panny hrabianki...

Gdy zjawił się po raz pierwszy, wygalonowany i wyfraczony, fagas zastąpił mu drogę i ryknął:

— Gdzie się to pchasz, stary durniu?

A chłopak kredensowy pokazał mu ośle uszy i spytał się drwiąco:

— A żaba dobra? Co?

Ale Kubała nie dał się zbić z tropu. Wygroził kułakiem bezczelnemu chłopakowi, ukłonił się w pas lokajowi i uparł się.

— Panna hrabianka na mnie czeka!

— To się obaczy — mruknął służący, oddalając się. — Ale za kawały odpowiesz. Mordę stłukę...

Powrócił z nosem na kwintę.

— No to wiary.

Czekała.

— Coś w tym jest — głowiła się służba. Hrabianka była zaręczona, więc próbowano się domyślać.

— Może uczy ją sposobów na narzeczonego. A może zadaje jej jakie leki...

Jak tam było z tymi sposobami na narzeczonego nie wiadomo, ale leki chyba były skuteczne. Hrabianka zawsze blada i znękana, od czasu wizyt Kubały zaczynała nabierać sił i kolorów.

Podejrzane. Bardzo podejrzane. Zaczęto przypuszczać najgorsze.

— Już to sobie wybrała — spluwali lokaje.

A pokojówki nieraz próbowały podpatrzeć, podsłuchać, ale nie udawało się jakoś. Ciężkie kotary przy drzwiach zasłaniały dziurkę od klucza, a głosy, idące z pokoju hrabianki, były przyciszone, stłumione. Nic nie można było wymiarkować.

I tak przez długi, długi szereg miesięcy.

*

W tym stawie, oddalonym od pałacu na kilka kilometrów, kąpiel była rozkoszą. Nie zamulony, głęboki, czysty. Nie ma weń pijawek, kijanek i wodorostów.

Pływało się tutaj dobrze. Śmieszne żabie ruchy. Ręce, nogi pracują. Rozgarniają wodę. Ciało się pręży, wije. A jędrne, szczupłe, wygimnastykowane, młode. I nagie. Całkiem nagie. Nie ma nań niepotrzebnych plażowych osłonek. Bo i po co? Hrabianka nie wstydzi się swego ciała i nieraz, w upalne dnie, spaceruje obnażona po pałacu. Lokaje — śmiecie...

Nudystka zakochana w swych wdziękach. Wenus igrająca z falami.

Miłe ustronie.

Wokoło szumią wierzby i zygzakowatymi ciemnymi wężami odbijają się w nurtach. Staw zielono-błękitny. Słońce przegląda się weń. Oślepia. A tam dalej łąki, ugory i pola.

Zapasione kuce drzemią w cieniu wierzb. Budzą się. Kiwają głowami, strzygą uszami, majtają ogonami. Spędzają z siebie zjadliwe niebieskie muchy i pręgowane wołochate bąki. Dobrze wyszczotkowane jabłkowate pośladki lśnią od tłuszczu. Lejce, z czerwonej taśmy, omotane są wokoło gałęzi.

Na kabriolecie, z kołami pociągniętymi żółtym lakierem, jest odzienie hrabianki. Lekka bawełniana sukienka, ażurowe pończoszki, zamszowe pantofelki. Kombinacja z prawdziwego jedwabiu koloru dojrzałej moreli. Słomkowy kapelusz z dużym rondem...

Światowa elegancka osoba.

Hrabianka lubi sporty. Nie śpieszy się. Ma czas. Pływa. Nurkuje. Parska. Cieszy się. Postępy ogromne. Marzy o pływackich konkursach. — Kanał la Manche, Panama, Suez... Wszechświatowa sława.

Próżna i ambitna widzi się królową świata, wampem filmowym. Narzeczony wyjechał. Obcałowuje nieraz jego fotografię, a równocześnie pragnęłaby przebierać w kochankach, jak w ulęgałkach.

— A dlaczegóż by nie kariera słynnej Amerykanki! Nie wszyscy królowie są żonaci...

— No, zobaczy się. Niestety, nie wszyscy są półgłówkami.

Podpłynęła do brzegu i rozejrzała się wokoło.

Jakżeż tu sielsko.

Z kominów, ukrytej za wzgórzem wioski, wzbija się dym. Lekkie puszyste pióropusze wznoszą się coraz wyżej i wyżej. Nikną. Rozwiewają się w osłonecznionej atmosferze.

Łan pszenicy dojrzewa.

Na ugorze, na prawo, widać stado krów. Same rasowe dworskie holendry. Chluba pana hrabiego. (Nieraz brał medale na krajowych wystawach bydła). Dorodne chamany z nabrzmiałymi mlekiem wymionami. Granichy. Szeroko rozstawione rogi błyszczą się. Iskierki słońca zapalają się na ostrych szpicach. Gasną.

Rozlezie się bydło na strony, to od czegóż jest pies. Kręci głową. Łypie ślepiami. Czuwa. I z ujadaniem rzuca się na przestępczynie.

Krowy rogami usiłują go skarcić. Pochylają głowy i w niezdarnych podskokach powracają, jak niepyszne, na pastwisko.

A także jest pastuch. Widać go z daleka. Nikt inny tylko Bartłomiej Kubała. Przysiadł na kamieniu i przygrywa sobie na piszczałce zmajstrowanej z lipowego drzewa. Przebiera brudnymi paluchami po dziurkach. Wydyma policzki. Dmucha. Mozoli się.

Smętne tony. Kościelne. Cóż za dziwak? Czyżby innych nie lubił? A może nie pamięta. — Matko niebieskiego Pana — leci pieśń po stawie.

— No, dosyć już tej kąpieli! Opalajmy się teraz na słońcu.

Wenus wyłoniła się z fal.

Cóż za wypieszczone ciało? Nawet paznokcie u nóg są wymanicurowane i zabarwione karminem.

W krzakach nadbrzeżnych coś się poruszyło. Zapewne dzieciaki ze wsi gniazd tutaj wypatrują. A może zabłąkany pies.

Ale nie.

Krzaki rozsuwają się. Widać dwie olbrzymie czerwone łapy, kupę łachmanów i głowę, ale potworną. Kretyn, z rozpłaszczoną czaszką, z ociekającą śliną zajęczą wargą i z wytrzeszczonymi oczami.

Ot głupstwo. Po prostu jakiś włóczęga spał sobie najspokojniej w krzakach. Obudził się i patrzy.

Energiczna panna.

— Won stąd oberwańcze — wrzasnęła, nadnosząc się na łokciu. — Tutaj łazić nie wolno. Podpatrywać nie wolno. To jest prywatna posiadłość.

Nie odpowiedział.

Jednym susem rzucił się na nią.

*

Oszołomiona, obolała, z powykręcanymi w stawach palcami, posiniaczona, sponiewierana hrabianka, przez dłuższy czas, nie śmiała się ruszyć, nie śmiała oczów otworzyć.

Wtuliła twarz w piasek i płakała, płakała, płakała.

— Taka hańba! Taka hańba!

I podszept próżności:

— Nie, nie! Nikt nigdy wiedzieć nie będzie. Nikt nigdy wiedzieć nie może.

Myliła się.

Gdy otworzyła oczy Kubała stał nad nią.

Workiem, który w słotę służył mu za parasol, osłonił jej obnażone ciało i kiwając głową z politowaniem, mówił:

— Biedna, biedna! Nie zdążyłem nadbiec! Poszczułem psem drapichrósta. Uciekł.

Próbowała skłamać:

— Jakiś bandyta. Chciał mnie okraść, zamordować, ale nic mi nie zrobił.

Kubała przymrużył znacząco jedno oko.

— I po co te wykręty — mruknął — Przecieć wszyćko dokumentnie widziałem. Trudno! Wypadki chadzają po ludziach, a panna napraszała się na nieszczęście. Czyż to tak można świecić golizną? Ale co będę gadał. Stało się.

I dodał z naciskiem:

— A jo świadek.

Na te słowa zbezczeszczona dziewczyna rzuciła się przed pastuchem na kolana.

— Człowieku! Widzisz jak jestem zdesperowana! Jeżeli w Boga wierzysz zaklinam cię na wszystkie świętości! Milcz! Milcz!

Poskrobał się w głowę.

— Jo tam do gadania nie skory. Co nie mam milczeć? Będę milczał, ale wzamian coś mi się będzie należyć.

— Wszystko co zechcesz! Zapłacę ile tylko będzie potrzeba!

Machnął ręką.

— Co me tam pieniądze! Jo tam na pieniądz nie łasy. Młody już nie jezdem, a do grobu ze sobą nie zabiorę.

— Więc czego żądasz?

— Mojej kolejki.

Hrabianka zbladła jak płótno.

— Nie, nie! Nie mogę, nie mogę! Ulituj się człowieku — wyciągnęła ku niemu błagalnie splecione dłonie.

A Kubała roześmiał się.

— Panna me źle zrozumiała — bąknął. — Dużo tam sobie robię z jej ciała. O duszę się mnie rozchodzi, więc żądam od niej jednej godziny czasu na dobę! I kuniec na tym.

Zdumiała się.

— A na cóż ci ta godzina?

— To już moja rzecz.

I dodał po chwili:

— Chcę pannę pocieszyć.

— W jaki sposób — przeraziła się.

— W zwyczajny. Będę pannie mówił o Bogu.

*

W rok po tym zdarzeniu pogodna i promieniejąca wewnętrznym światłem hrabianka składała śluby w klasztorze bosych Karmelitanek, w Krakowie.

ZE SCEN WARSZAWY



Obok: Świetny kuplecista Jankowski odnosi sukcesy w teatrzyku „Złoty Ul" w Warszawie.

Fot. Śmigacz

„ZŁOTY UL": SZAŁ CIAŁ

W „Złotym Ulu" p. Boczkowskiego szaleją pszczółki i trutnie. Dobrze im tu, miło i przytulnie, więc śpiewają, tańczą i dowcipkują, a publiczność śmieje się do łez, bije brawa i woła: bis.

Ku wielkiej uciesze stałych bywalców powróciły na zimę do „Ula" marnotrawne trutnie — Chór Dana. Będzie im tu ciepło śpiewać. Ulubieniec publiczności, zwłaszcza tej piękniejszej części, Zbyszek Rakowiecki, zazdrości w piosence pieskowi i pchełce, że mogą być tak blisko ukochanej kobiety. Jankowski w świetnych kupletach „Fakt autentyczny" jak również w parodii Dymszy, znakomity. Doskonały „komik w spódnicy", M. Chmurkowska, w monologu o służbie przeciwlotniczej opowiada swoje wrażenia z nocnego dyżuru na podwórku i na schodach, zaś w skeczu Chrzanowskiego „Pani Buba i diabeł" jest prawdziwą kobietą, tzn... nie gardzi nawet diabłem byle tylko miał dużo pieniędzy, kupował futra, biżuterię i pończoszki. Młodym jak na diablą rachubę, bo zaledwie 7 tys. lat liczącym, diabłem jest K. Pawłowski, któremu w roli tej dobrze, natomiast w skeczu Lachowicza „Burza" — Pawłowski (jako kochanek) niepotrzebnie szarżuje — daje to taki efekt, że publiczność śmieje się w momentach pełnych dramatycznego napięcia. Chmielewski jako mąż sprzedający swą ex-żonę kochankowi, Kaniewska (żona) i Zelski (służący) — naturalni.

Bardzo dowcipny i pomysłowy skecz Paczkowskiego „Sprawa karna" dał pole do popisu Chmurkowskiej jako kobiecie-adwokatowi i Rakowieckiemu jako jej klientowi proszącemu o obronę w procesie o gwałt zamierzony na osobie tej właśnie kobiety, u której zasięga porady prawnej.

Zabawny był również skecz „Fatalna noc", w którym zapowiadało się na prawdziwy „szał ciał" poślubnej nocy między Wilczyńską a Pawłowskim, a któremu przeszkodziła dziura w ścianie, powstała przy przybijaniu fotografii. Dom, rzecz zrozumiała, był nowoczesny...

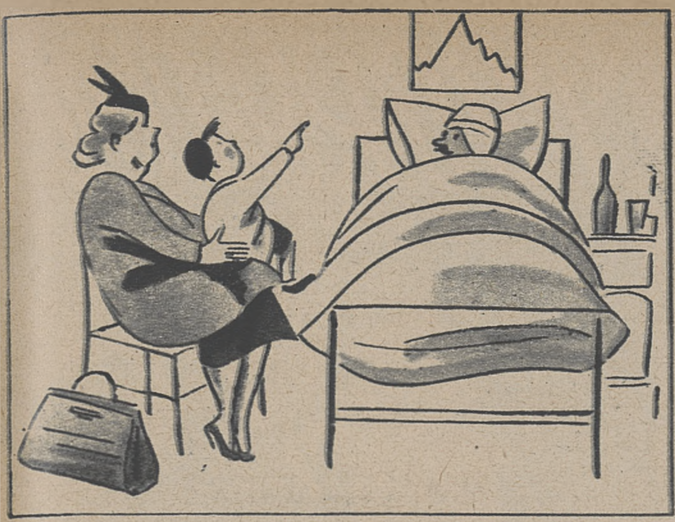
Rewia kończy się ciekawie napisaną przez Boczkowskiego i Odrowąża melodyjną operetką „Jeanette", w której oglądamy: Winiarską, Wilczyńską, Kaniewską, Szołajską, Rakowieckiego, Pawłowskiego, Chmielewskiego, Jankowskiego i Zelskiego.

Dwa tańce: „W świetle księżyca" i „Diabeł" pięknie wykonuje Danuta Kwapiszewska. Reżyserowała Perzanowska, dekoracje przygotował Jarocki, przy fortepianie zasiada Walentynowicz.

„MIRAŻ": MIŁOSTKI JESIENNE

Praski „Miraż" pozyskał dwie dobre siły rewiowe: Inę Wolską i Wojciecha Ruszkowskiego, którzy śpiewają lekkie piosenki i grają w skeczach. Nowozaangażowana również Rena Markiewiczówna śpiewa aktualne kuplety wiejskie. Pomysłowe inscenizacje baletowe są układu Wojnara, ładne dekoracje projektuje zdolny Marszałek, nad całością zaś programu czuwa J. Junosza.

Zygmunt Bakuła



— „Czy to jest ta góra, z której zleciał wujcio Kazio?“

(Wiener Illustrierte)

BOCIANY ODLATUJA

Jesienią każdy poeta
Chodzi leciutko zawiany
I opłakuje rymami
Odlatujące bociany.

Jesienią każdy poeta
Chodzi jak struty po dwo-
[rze,
Bo odlatują bociany,
Bo odlatują za morze.

Jesienią każdy poeta
Przed bramą długo wy-
[staje
I patrzy jak się kierują
Bociany na ciepłe kraje.

Hej, czemu za bocianami
Płaczecie tkliwi poeci?
Czyż ludzie tam w ciep-
[łych krajach
Nie potrzebują mieć dzie-
[ci?...

Eugeniusz Kol.

ŚWIAT SIĘ

Dentysta wchodząc do poczekalni pyta:
— Kto najdłużej już czeka, będzie zaraz przyjęty.
— Doskonale — rzekł czekający wśród pacjentów krawiec i przedłożył dentyście z przed pół roku rachunek.

•

— Tak, proszę pana, wyrabiam teraz na wielką skalę pończochy i włożyłem w nie wszystkie moje pieniądze...
— Wie pan, że to może zanadto po staroświecku — czy nie byłoby pewniejsze włożenie ich do kasy ogniotrwałej?

•

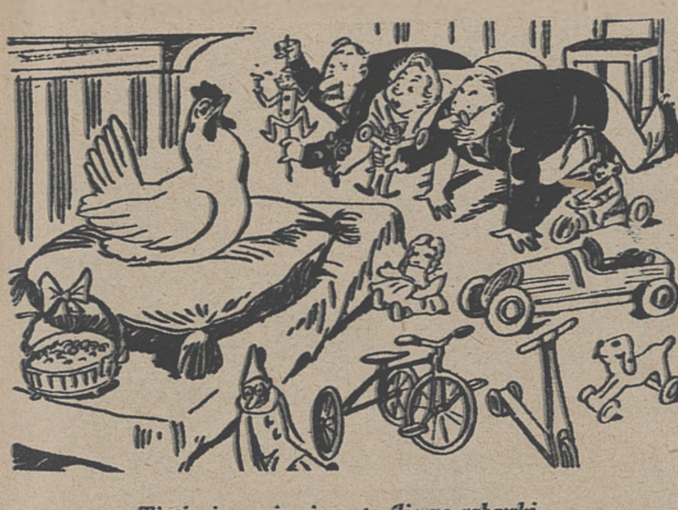
— Ależ moja Maryniu, ja zdaje się Maryni nigdy nie nauczę, że przy stole podaje się potrawy z lewej strony...
— Ach, proszę pani, pocóż być tak przesądną?

•

— Co? — pyta się ze zdziwieniem gość, zwiedzając jakieś średniowieczne zamczysko — i ta jedyna armata wystarczyła do obrony zamku?
— Tak, proszę pana — ale ta armata miała dziesięciokrotne echo.

•

— Jak pan mógł pocałować moją córkę w ciemnej sieni?
— Ma pani rację! Jak ją potem zobaczyłem w dziennym świetle to sam byłem zdziwiony.



„Tiutiusiu spojrzyj na te śliczne zabawki,... a teraz bądź grzeczną i znieś jajko“. (Koralle)

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 20 (51)

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA SZACHOWEGO

Monachium. Wynik turnieju o mistrz. Europy: I. Alechin, 8½, II. Keres 7½, III—IV.—V. Bogolubow, Foltys i Richter po 7, dalsze miejsca zajęli: Barcza 5½, Junge 5, Rellstab 4½, Rohaczek i Stoltz(!!) po 4, Napolitano 3½ Rabar 2½.

Uderza fatalna forma Stoltza, zwycięzcy zeszłorocznego turnieju w Monachium (przed Alechinem!).

PARTIA Nr. 91 (93)

Białe: Keres **Czarne: Rabar**

grana w turnieju o mistrz. Europy w Monachium w r. 1942

Partia hiszpańska

1.	e4	e5	17.	K—h1	S—g6
2.	S—f3	S—c6	18.	W—g1!	S—h5
3.	G—b5	a6	19.	H—f1!	K—h8
4.	G—a4	S—f6	20.	S—e2	c6(5)
5.	0—0	G—e7	21.	f4	d5(6)
6.	W—e1	b5	22.	f5	S—h4(7)
7.	G—b3	d6	23.	f3	H—e8(8)
8.	c3	0—0	24.	S—f4	S—f6
9.	a4	W—b8(1)	25.	H—h3	S×e4(9)
10.	a×b5	a×b5	26.	f×e4	H×e4†
11.	d4!(2)	e×d4	27.	S—g2	S×f5
12.	c×d4	G—g4(3)	28.	G—f4	W—b7
13.	S—c3	H—d7	29.	Wa—e1	H×d4
14.	G—e3	G—d8	30.	H×f5	H×b2
15.	H—d3(4)	G×f3	31.	G—e5	H×b3
16.	g×f3	S—e7!	32.	W—e3	Czarne poddały się. (10)

UWAGI:

(1) Należało grać 9... b4 Po 9... W—b8 białe uzyskują pozycyjną przewagę.

W partii Löwenfisch—Keres (Leningrad—Moskwa 1939) wybrano następujący poprawny sposób gry: 9... b4! 10. d4 e×d4 11. c×d4 G—g4 12. G—e3 S—a5 13. G—c2 c5 14. b3 S—d7 15. Sb—d2 G—f6 16. H—b1 h6 17. W—a2 S—c6 i czarne uzyskały dobrą grę.

Dr. Euwe w swym dziele o teorii otwarć nie uważa posunięcia 9. a4 za najskuteczniejsze dla białych w danej pozycji, wysuwając 9. h3 jako najlepsze.

(2) Dają się odczuć skutki otwarcia linii a.

(3) 12... d5 13. e5 S—e4 14. Sb—d2 i jeśli teraz G—b4, to pozycja białych jest już tak silną, że pozwala nawet na zaofiarowanie jakości: 15. S×e4.

(4) Można było graä spokojniej i pozycyjniej: 15. d5 z ewentualnym dalszym ciągiem: S—e5 16. S×e5 d×e5 17. f3 lub 15... S—e7 16. G—c2, poczem Sc—2e. Posunięcie w partii H—d3 zobowiązuje więcej.

(5) Po 20... f5 grają białe 21. H—h3, a po 21... S—h4 22. S—g3

(6) a) 21... f5 22. H—h3.
b) 21... H—e8 22. f3 f5 23. G—c2.

(7) W razie 22... S—e7 białe rozpętują atak przez 23. H—h3.

(8) Nieco lepszem było 23... W—e8. Keres odpowiedziałby na to zapewne 24. S—f4 S×f5 25. S×h5 S×e3 26. H—f2 g6 27. H×e3 lub też 24... S—f6 25. H—f2.

(9) Determinacja 25... S—d7 26. W—g4 było też beznadziejnym na dłuższą metę.

(1) Groźba W—h3 jest niedoodparcia.

PARTIA Nr. 92 (94).

Białe: Romi **Czarne: Keres**

grana na Olimpiadzie w Monachium w r. 1936.

Obrona francuska.

1.	d4	e6	11.	e×d5	Wf—e8!
2.	e4	d5	12.	d×c6	e4
3.	S—d2	c5	13.	H—c4(2)	H—b6!
4.	d×c5	G×c5	14.	S—b3	G×f2†
5.	G—d3	S—c6	15.	W×f2	e×f3
6.	S—f3	S—f6	16.	g×f3(3)	W—e1†
7.	H—e2(1)	e5!	17.	K—g2	G—h3†
8.	G—b5?	0—0	18.	K—g3	W—g1†
9.	0—0	G—g4	19.	K×h3	H×f2(4)
10.	G×c6	b×c6	20.	Białe poddały się.	

UWAGI :

(1) 7. $0—0_s$.

(2) Na to opuściły się białe. Keres pustoszy pozycję przeciwnika w kilku ruchach.

(3) Z powodu groźby: S—e4 wymuszone.

(4) Beznadziejna pozycja dla białych. Nastąpiło jeszcze: 20. H—f4 H—g2† 21. K—h4 h6 22. H—g3 H×g3 23. h×g3 W—h1 mat.



„Patrz mamo! Wujciu jest również w dzień zaciemniony!“

(Kölnische Illustrierte Zeitung)

— No, muszę się przyznać mój drogi — mówi żona do męża — że nie znalazłam wcale w małżeństwie tego, czego szukałam...

— Nie martw się — odpowiada on — bo ja też wcale nie szukałem w nim tego, co znalazłem.

•

— Kazio utrzymuje, że jestem nie tylko piękną, ale inteligentną i interesującą.

Przyjaciółka: — I dlatego chcesz się z tym człowiekiem wiązać na całe życie, mimo, że cię już teraz tak oszukuje?

ŚMIEJE

— Kasiu, podobno nasza kura wysiedziała masę kurcząt?
— Tak, proszę pani.
— Ile?
— Szesnaście.
— To każ zaraz kucharce mleka zagrzać.
— A to po co, proszę pani?
— No, przecież jedna kura tylu kurcząt nie wykarmi.

•

U pośrednika małżeństw:
— Ta dama nie odznacza się wprawdzie urodą, ale za to posiada trzypiętrową kamienicę.
— Ma pan fotografię?
— Oto jest, proszę.
— Ależ nie jej, tylko fotografię jej **k a m i e n i c y** chcę widzieć.

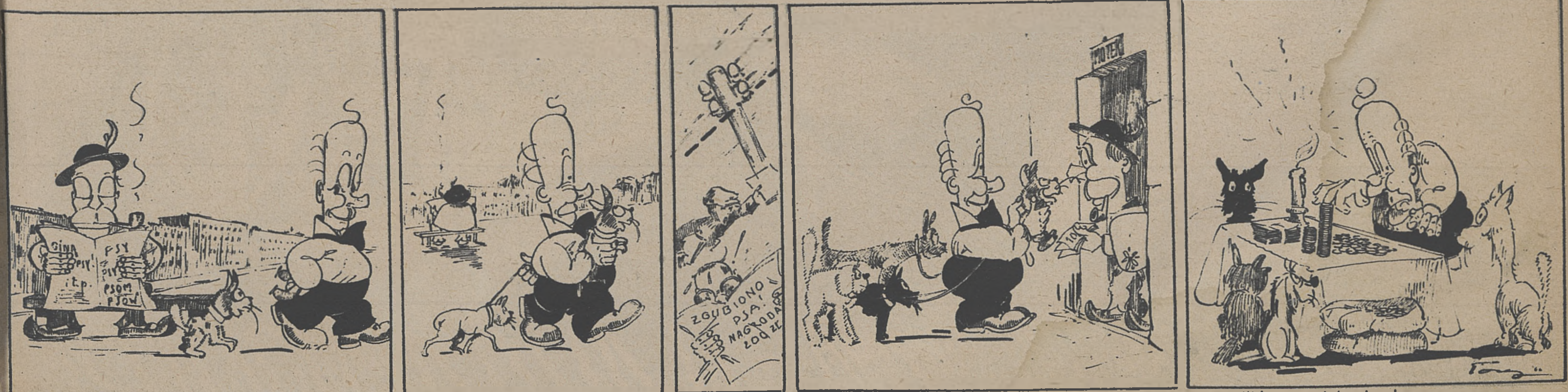


„Przypatrzcie się waszemu niewiernemu ojcu! Za to, że mnie opuścił, wisi teraz na szyi tej pani!“

(Wiener Illustrierte)

KONKURENCI RAKARZY

Rys. i tekst: Pawl.



Czytał Knotek raz w dziennikach,
Że za pieska zgubionego
Jakaś pani na Dębnikach —
Dwieście złotych da „zwrotnego".

Dużo forsy na psich fantach,
Można zdobyć tą metodą:
— Łapiąc pieski pań na plantach
I oddając za nagrodą.

Więc znikały różne pieski,
Starych panien i kokotek;
Ciągnął z tego sute zyski,
Hultaj Motek, no i ... Knotek.

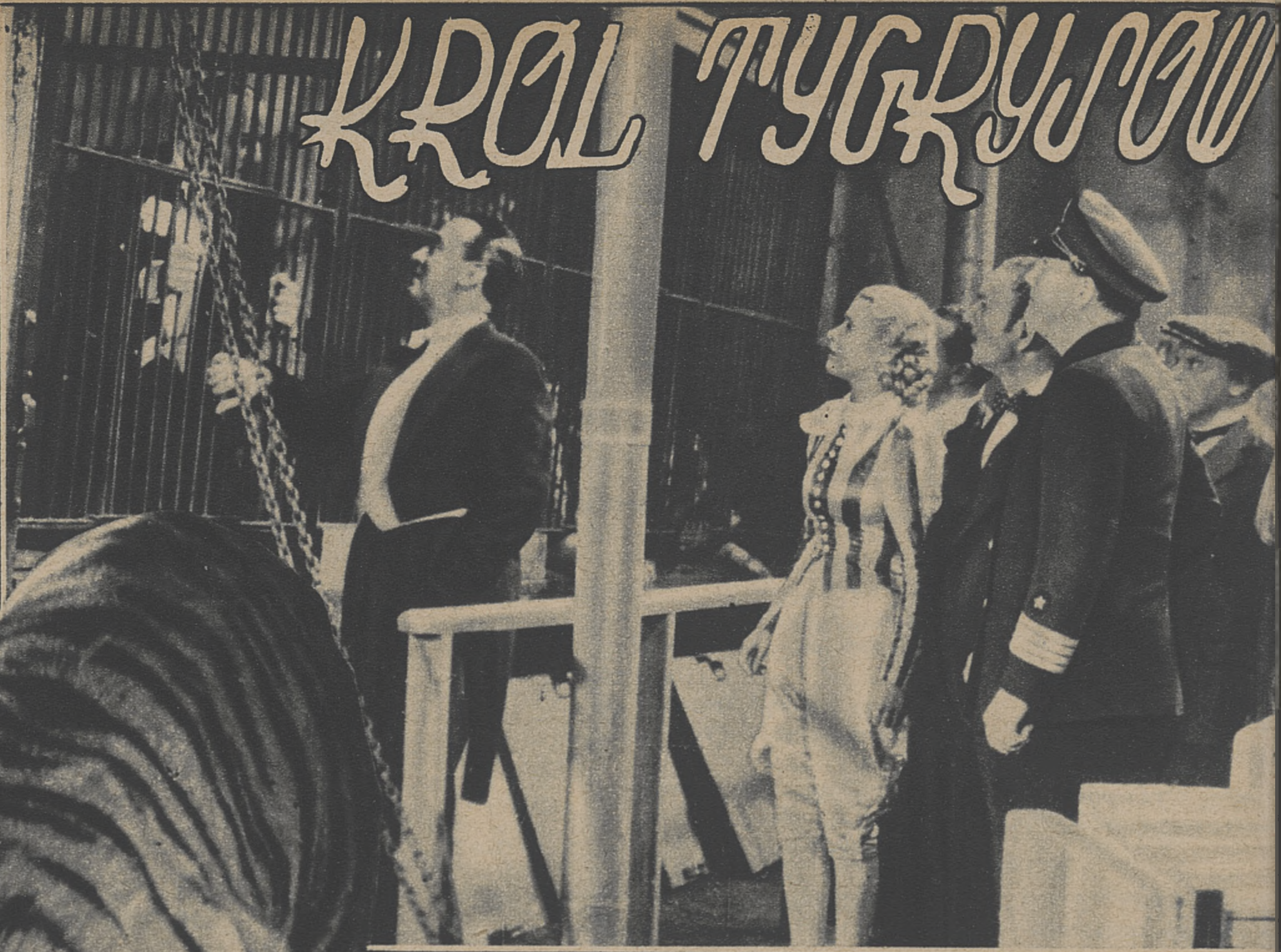
Jeśli komu zginie piesek
— Niech nie szuka po Krakowie;
Weźmie kij lub z forsą kiesę —
— Gdzie dom Knotka — niech się dowie.

KRÓL TYGRYSÓW



Fot. Tobis Hammerton

Else Elster w roli młodej debiutantki.



Hans Junkermann — dyrektorem cyrku, Ivan Petrovich — van Houten'em, Charlotte Susa-Tamara i inni.



Król tygrysów Bengal.

Film pod powyższym tytułem odsłania nam tajniki prywatnego życia cyrkowców. Hans Junkermann, jako dyrektor cyrku, odgrywa tu rolę wiecznie zapracowanego i znajdującego się w kłopotach pieniężnych ojca licznej rodziny domteurów, menażerów, kobiet i „dużych kotów“. Jego córka Tamara — Charlotte Susa — występuje w najbardziej tajemniczych rolach jako pomocnica swojego ojca, którego dobro przekłada ponad własne szczęście. W czasie akcji rozwija się bardzo zawikłana miłostka, w której Ivan Petrowich odgrywa główną rolę. Młody Hindus Sikkim Khan wraz z królem tygrysów Bengalem są największą atrakcją cyrku Barszony. Celem zdobycia jeszcze większego rozgłosu popularnej pary planuje się turniej po Ameryce. W czasie podróży morskiej dzieją się niesamowite rzeczy, ginie drogocenna biżuteria, tygrysy uciekają z klatek i... serce wiernej Tamary pała miłością do największego przeciwnika ojca. Jenkins — Paul Heidemann — dobroduszny artysta, Inge — Else Elster — młoda debiutantka i Hubert von Meyerinck w roli Vicomte d'Aubert przyczyniają się do wyświetlenia sytuacji na statku „Sarminto“ i doprowadzają do „happy end'u“.

„Tajemnicza kawiarenka“ jest własnością Gustawa Kluge — Ernst Waldow —, który dorobił się własnej kamienicy i nadal dąży do powiększenia swoich posiadłości i to kosztem sąsiada Wudicke — Hans Stiebner —, właściciela domu i kramiku z „ziemniakami, śledziami i innymi owocami południowymi“. Wybucha awantura. Na dodatek jeszcze córka portiera Panse — Rotraut Richter — poczuła powołanie na scenę i zaczęła bałamucić młodego adwokata, narzeczonego córki wdowy Bock. Powołanie sceniczne panny Panse kończy się jednak fiaskiem w teatrze i miłosnym „happy end'em“ z czeladnikiem piekarskim p. Kluge. Trzecia awantura spowodowana pęknięciem rury wodociągowej sprowadza policję, a wreszcie ostatnia ma miejsce w nowej kawiarni p. Kluge, a jaki jej koniec zobaczymy wkrótce na ekranie.



Adolf Fischer w roli Emila i Rotraut Richter jako córka portiera Panse.



Hans Stiebner — właścicielem kramiku z „ziemniakami, śledziami i innymi owocami południowymi“.

TAJEMNICZA KAWIARENKA